

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Z książek, które ostatnio przeczytałem lub odłożyłem do przeczytania, ale także z ofert odrzuconych, odnoszę wrażenie, że więcej jest teraz (chwilowo?) rozważań ogólnych, koncepcyjnych, bibliozoficznych, aniżeli wąskozakresowych tekstów instrumentalnych. Te, które sygnalizuję poniżej, uważam bez wyjątku za warte lektury, może nawet należałoby je przeczytać koniecznie – mimo że nie wszystkim (z różnych powodów) przypisuję oceny najwyższe.

[1] PODRĘCZNIK NIEMAL KOMPENDIALNY [****]

Oto publikacja (MacKellar, 2008), mająca wszelkie cechy podręcznikowego kompendium zawodowego, znakomicie i ze znanstwem napisana. Autorka – z biblioteki uniwersytetu stanu Nowy Meksyk – odniosła się do podstawowych problemów bibliotekarstwa i do głównych procesów bibliotecznych, w ujęciu zaktualizowanym. Bardzo to ciekawe i jedyne zastrzeżenie mam do sugestii, że wszystko, co biblioteka oferuje, to informacja. Tak? Muzyka, literatura piękna, filmy też? No to jedną * trzeba było odjąć.

Uznając, że bez bibliotekarskich kwalifikacji nie jest się bibliotekarzem – i apelując o zaprzestanie bajdurzenia, jakoby w tym zawodzie nic nie trzeba było umieć (są takie opinie wśród tamtejszych pracowników bibliotek, ale polskich też) – MacKellar odnosi się jednak krytycznie do form tego kwalifikowania, które zresztą skrętnie wylicza. Dobre tradycje, więc pierwsza szkoła bibliotekarska, którą w Nowym Jorku założył w 1887 r. M. Dewey i potem (1926) świetna szkoła na Uniwersytecie w Chicago, to już odległa przeszłość. Obecnie sporo uczelni zlikwidowało ten kierunek, wyznaczone przez ALA standardy kształcenia są fatalne, a programy nauczania ignorują potrzeby praktyki.

Z kolei w wielu bibliotekach – nawet w Bibliotece Kongresu – nie wymaga się od pracowników kwalifikacji z zakresu inb i w mniejszych bibliotekach nikt ich nie ma. Wśród osób, zatrudnionych w 123.300 amerykańskich bibliotekach, ma je 68%. Najwięcej na Hawajach 99,7%, a najmniej – w stanie Montana: 21%.

Z najbardziej bibliotecznych i o t e c z n y c h bibliotek, mianowicie publicznych, korzysta w USA 31% populacji. To znacząco więcej niż w Polsce, ale zdecydowanie mniej niż w Europie Zachodniej. Ich główna powinność: zapewnić ofertę dla całego środowiska – jest trudna do zrealizowania i wymaga szerokiej współpracy międzybibliotecznej oraz stałego badania potrzeb (są wskazówki, jak to robić i adresy porad internetowych). A koniecznością chwili jest zmiana stylu funkcjonowania i stworzenie w bibliotece, lokalnej przestrzeni publicznej (z intensyfikacją pozausługowych form pracy z publicznością), jak też wypracowanie rozumnych planów strategicznych.

Opisując poszczególne procesy biblioteczne, MacKellar dokonuje starannej charakterystyki (i tego nie będę relacjonował) oraz sygnalizuje, co jest w nich obecnie nowego. W tworzeniu kolekcji, obowiązkowo mieszanych, nowością jest ogromna podaż oraz forma nabywania materiałów na mocy licencji – trudna i niewygodna. Autorka uważa, że to obliuguje do opracowania przez każdą bibliotekę precyzyjnych zasad gromadzenia i selekcji zasobów. Obawiam się, że nadmierna precyzja reguł, gromadzenie w ogóle wykluczy, a publiczne wypowiedzi o selekcji są ryzykowne, bowiem społeczeństwo nie toleruje usuwania zbiorów z bibliotek. Lepiej więc nie drażnić.

W rejestrze usług wylicza się (to już dzisiaj standard) udostępnianie na miejscu, na wynos oraz zdalne, a obok dostawy materiałów, rośnie znaczenie organizowania dostępu do zasobów i podaży spoza biblioteki. Nowe formy usługowe mają związek z elektroniką. MacKellar wychwala biblioteczne błogi i mikrobłogi, formy *Wiki* (jak *Wikipedia*) oraz interaktywną *Bibliotekę 2,0* (do której potrzebny jest jednak dodatkowy personel), a także społeczną sieć *Facebook* (pisząc to, nie wiedziała, że będą przed tą siecią ostrzegali neurologowie). Zaś wykorzystywanie bibliotecznych komputerów (poza katalogami) zostało w USA ujęte w formułę *Public Access Computers* – ze specjalnym wydzieleniem stanowisk, wyznaczeniem czasowego limitu korzystania oraz... opłatami za wydruki.

Porządkowanie chaotycznej oferty komunikacyjnej, poprzez klasyfikację i katalogowanie, uległo zasadniczej zmianie z wprowadzeniem katalogów elektronicznych (o automatycznych tu jeszcze nie ma mowy). Wygodnych dla publiczności, ale coraz bardziej kształtowanych przez słowa kluczowe, co burzy porządek oraz oddala dokładność. Dlatego jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest, według autorki, konwergencja reguł starych i nowych.

W szeroko rozbudowanej charakterystyce usług informacyjnych jest kilka opinii, wartych przytoczenia. Uznając doradztwo informacyjne za powinność biblioteki, autorka dostrzega zróżnicowane możliwości, zależnie od rodzaju biblioteki, uznając przy tym, że często jest jeszcze potrzebna dodatkowa pomoc konsultacyjna ze strony dużej biblioteki, a czasem – eksperta. Jej zdaniem, oferta informacyjna biblioteki publicznej z natury rzeczy jest ograniczona i płytka, w bibliotece szkolnej konieczny jest naddatek metodologiczny (jak szukać...), a tylko w bibliotece naukowej można realnie oczekiwać porady i konsultacji pogłębionej.

Typowy przebieg procesu udzielania informacji, zdaniem MacKellar, jest następujący: interpretacja zlecenia «wybór źródeł» weryfikacja ze zleceniodawcą «ewentualna konsultacja ekspercka» odpowiedź finalna – przy dopytaniu się na wstępie o kontekst tej informacji, o jej przeznaczenie oraz o źródła już zleceniodawcy znane. Poza tym autorka zwraca uwagę na możliwość automatyzacji niektórych usług informacyjnych, z wykorzystaniem istniejącego w USA systemu automatycznego SDI (*Selective Dissemination of Information*), przez rozpowszechnia wtórnie informacje już raz udzielone. Użytkownik zgłasza się do systemu poprzez wybrane przez siebie słowa kluczowe i uzyskuje wiadomość, co w tym zakresie jest nowego.

Cały segment książki dotyczy zarządzania biblioteką. MacKellar nie bez racji uważa, że nominacja na dyrektora przenosi człowieka do innej ligi – gdzie trzeba zadbać o pożytek całości, redukując aspiracje osobiste i układy koleżeńskie, a dążyć do liderowania, czyli przywódczego kierowania przez przykład. Racjonalna jest też sugestia szczególnej dbałości o nabór pracowników nowych oraz o ich zawodową inicjację – w trosce o przyszłość biblioteki. Natomiast konieczność utrzymania dyscypliny rzeczywiście bywa frustrująca, ale taka to jest funkcja. Poza tym zaś na dyrektorze spoczywa obowiązek wygenerowania dobrej strategii marketingowej i produktywnej współpracy ze środowiskiem oraz: uciążliwa powinność współdziałania z organizatorem.

Zawód bibliotekarski zmienia się i rozwija, stąd konieczność stałego doskonalenia umiejętności. W USA są w tym zakresie liczne oferty ośrodków uniwer-

syteckich, stowarzyszeń bibliotekarskich (jest ich tam aż 26) i w książce podano stosowne namiary. Ze swej strony autorka przestrzega przed intelektualno-profesjonalną stagnacją, która bierze się z nadmiernego usatysfakcjonowania tym, co jest oraz z narzekania, że nic więcej zrobić nie można. Powtarzana bowiem nieprawda, z czasem zaczyna uchodzić za prawdę.

No i tekst nie byłby amerykański, bez tyrady na temat swobód obywatelskich i powszechnych uprawnień do korzystania z bibliotek. Przywołano liczne przepisy i amerykański kodeks etyki bibliotekarskiej oraz jest niechętny komentarz do ustawy *Patriot Act*, która służbom bezpieczeństwa pozwala na wgląd, kto z czego w bibliotece korzysta. Ciekawe natomiast, że nie wywołuje żadnych protestów ustawa *Children's Internet Protection Act*. Logiczne to nie jest.

[2] ODPAZERNIANIE INFORMATOLOGII [***]

Profesor Bill Crowley z Dominican University (River Forest koło Chicago) zarzucił nauce o informacji – mówiąc metaforycznie – pazerność i aneksję bibliotekarstwa (Crowley, 2008). Mam zbliżone obawy, chociaż nie tak skrajne. Rzekiwiście, rozpanoszył się paninformacjonizm, uznający w s z y s t k o (!!?) za informację, przez co spycha informatologię w otchłań paranauki i demoluje bibliotekoznawstwo. Zatem należy ją trochę odpazernić.⁶

Przyczyną utożsamienia bibliotekarstwa z dokumentalistyką stała się – według autora – wspólnota uniwersyteckiej edukacji, postanowiona w oparciu o różne zbieżności, ale wbrew licznym różnicom i odrębnym paradygmatom. Zakres wiedzy o informacji, wyglądający na bardziej naukowy, wchłonął w tej edukacji i zepchnął na boczne tory zakresy wiedzy o bibliotekarstwie – przynajmniej w USA (a u nas to nie?), bo w Anglii jednak niekoniecznie – bowiem na uczelniach obowiązują standardy właśnie naukowe.

Do kształcenia bibliotekarzy zaproszono znawców informacji, co musiało przynieść takie właśnie efekty. Tym bardziej, że coraz mniej zawodowych bibliotekarzy angażuje się w uniwersytecką dydaktykę. W Polsce: dlatego, że nie mają stopni naukowych, a więc i uprawnień. Ale znają problematykę – głębiej niż wizyty w czytelnii i w toalecie. Ostatecznie stomatologów kształcą dentyści, a nie kowale. W każdym razie, w ujęciu informatologów bibliotekarstwo stało się obszarem wiedzy rzekomo przestarzałej i w USA taki stan jest akceptowany przez standardy ALA (stowarzyszenie akredytuje tam standardy kształcenia bibliotekarzy): dominuje model bibliotekarza-informatora, a w tle tolerowany jest jeszcze model bibliotekarza-edukatora.

O innych funkcjach bibliotek – w praktyce ważnych – oraz o zróżnicowanych rolach bibliotekarzy, właściwie nie ma mowy. Uczelnie, w oderwaniu od rzeczywistości, przygotowują więc absolwentów do całkowicie innej profesji. Do takiej, która nie istnieje!

W rezultacie organizatorzy i dyrektorzy bibliotek nie żądają od pracowników kwalifikacji inb. Ta swoista wojna biblioteczno-informatologiczna (chyba jednak przesada...), rozpetana mimo woli, ale nie powstrzymana, działa na szkodę zawodu i systemu kształcenia. Próby odbudowania wartości bibliotekoznawstwa – udane np. w Anglii – są mało skuteczne, z braku stosownej argumentacji. Zwykle o intelektualnej wartości zawodu i wiedzy świadczyło katalogowanie, ale odkąd rozpoczęła się automatyzacja tego procesu (kolejna przesada), ten argument przestał funkcjonować.

Crowley ma rację, że coś z tym trzeba zrobić, bo sytuacja osiągnęła granice absurdu. Proponuje więc konkluzję alternatywną. Można mianowicie całkiem oddzielić kształcenie pracowników informacji od kształcenia bibliotekarzy – tak jak to się już tu i ówdzie stało. Ale dopowiem, że to *rozdzielenie* polegało na wycięciu segmentu bibliotekarskiego, więc nie jest to rozwiązanie wymarzone.

Inna opcja zakłada w s p ó l n e kształcenie r ó w n o l e g ł e i r ó w n o - r z ę d n e, w oparciu o wzajemnie tożsame zakresy wiedzy, z zachowaniem stosownego parytetu i wzajemnej ważności rozbieżnych segmentów tej wiedzy. Teraz tak nie jest: informatologia przytłacza. U nas też. Wystarczy obejrzyć naszą punktację ECTS: to horror!

Biblioteka bowiem jest przecież instytucją częściowo informacyjną, ale n i e t y l k o informacyjną i do tych innych zadań też trzeba bibliotekarzy przygotować. Natomiast niech nikt nie plecie, że wszystko jest informacją i że komunikacja literacka bądź muzyczna ma charakter informacyjny – bo to nonsens.

Tekst Crowleya, niewolny od gadulstwa, megalomanii, powtórzeń i licznych uproszczeń, ma jednak dużą siłę prowokacyjną. I bardzo dobrze, bo jest o czym myśleć oraz dyskutować.

[3] ANGIELSKIE BIBLIOTEKARSTWO PUBLICZNE: ZMIANY [***]

Z kolei, David McMenemy charakteryzuje współczesne bibliotekarstwo publiczne w Anglii (McMenemy, 2009) i zachodzące w nim zmiany. Podobne jak wszędzie, ale tam ranga tych bibliotek jest wyraźnie wyższa, no i obsługują blisko połowę populacji dorosłej. Są (jak napisano) natomiast marnie finansowane i funkcjonują w kiepskich lokalach – ale nie wiem, czy to takie niezwykle.

Samorządy, które te biblioteki utrzymują (standardy wyznacza resort kultury), niechętnie asygnują wyższe kwoty i zawsze wtedy żądają wydłużenia czasu otwarcia, nawet o 50%. Krąży też opinia, że te biblioteki są tylko dla klasy średniej – dostatecznie dobrze sytuowanej, żeby nie odwoływać się do kiesy publicznej. To bzdura, lecz chętnie eksplikowana.

Rejestr głównych powinności, obecnie przypisywanych tym bibliotekom, trochę różni się od spisów poprzednich: zwłaszcza zadania rekreacyjne zeszły na dalszy plan, chociaż rekreacja ambitna jest tolerowana. Lansuje się przede wszystkim promocję czytelnictwa i szeroką ofertę informacyjną (w tym: *Bibliotekę 2.0*) oraz wsparcie (również online) samokształcenia i naukę korzystania z Internetu, a także środowiskową działalność lokalną.

Do standardów należy organizacja form zbiorowych i zespołowych, imprez, dyskusji, a także wypracowano urozmaicone programy dla małych dzieci oraz dla ich rodziców. Wygląda, że jest tego dużo, ale autor zrzędzi, że biblioteki są mało aktywne, oraz wspomina o zauważalnych redukcjach czasu otwarcia, co ogranicza usługi pośrednie.

Doborem zasobów sterują bibliotekarze i – także w sieciach bibliotek oraz w konsorcjach – zdaje to egzamin dobrze. Dlatego nie rozumiem, po co komu suggestia alternatywna, żeby ten dobór scedować na... dostawców. To jakieś nieporozumienie.

W Anglii obowiązuje Public Lending Right, czyli zasada wypłacania autorom stawek za obieg ich książek w bibliotekach publicznych – po zarejestrowaniu się w specjalnym biurze. Maksymalna kwota roczna (ze środków pozabibliotecznych) wynosi 6600 funtów rocznie. To nie jest tak mało, ale z innych sygnałów wynika, że najczęściej są to sumy rzędu 80-200 funtów.

McMenemy komentuje także demokratyczne reguły dostępu do bibliotek, zasady ochrony informacji osobistych i tak jak inni jest za redukcją wszelkich form cenzury, również tej nieoficjalnej, ale wyraża to w sposób racjonalny. Zadaje np. pytanie, co robić z agresywnymi tekstami islamskimi. Oraz przytacza c i e k a - w e informacje, naturalnie z USA, bo w Anglii (oczywiście!) takich głupot nie ma. Otóż domagano się w USA usunięcia z bibliotek *Przygód Hucka M. Twaina*, ze względu na rasistowską tonację oraz 13 tamtejszych bibliotek przesłało bez wahania materiały informacyjne zleceniodawcy, który prosił o pomoc w skonstruowaniu małej bomby. Widocznie wszystkich uspokoiło słowo *little*. Wracając zaś na podwórko angielskie, autor uznał kwalifikacje bibliotekarzy za marne. No to

gdzie są dobre? Dlatego bardzo pożyteczna instytucja, Chartered Institute of Library and Information Professions (CILIP), także w tym zakresie ma dużo do zrobienia.

Tekst jako całość sprawia wrażenie solidne. Serwuje opinie rzeczowe, natomiast dość standardowe. Nie zawiera pomysłów szczególnie nowatorskich. To raczej porządna rekapitulacja tego, co wiadomo.

[4] W KRĘGU KSIĄŻKI [***]

Docent Jurij Gorszkow z moskiewskiej Biblioteki Państwowej przeanalizował (Gorszkow, 2007) obecną sytuację książki w Rosji i na świecie. Zagraniczna część pejzażu jest zresztą tylko fragmentaryczna i zmierza do wskazania, na czym opiera się efektywny obieg książki. Oczywiście – na zwiększonych nakładach finansowych.

Istnieje ewidentny związek między produktem narodowym brutto, a nakładami na biblioteki – najwyższe są w Skandynawii. W rezultacie społeczny zasięg książki w Norwegii osiąga 92% populacji, w Szwecji – 71,8%, a w Finlandii – 66,2%. Także w USA nakłady na biblioteki wzrosły w ostatnich latach trzykrotnie – a na biblioteczne programy dla dzieci i rodziców tam oraz w Anglii wydano duże pieniądze. Z kolei, za znacznym obiegiem książki sprzedażnej w USA kryje się rozwinięta reklama, która pochłania 20% ogółu kosztów wydawniczych. Z tym na razie trudno się równać, jak i z faktem, że w Unii Europejskiej korzystanie z bibliotek stanowi drugą w hierarchii formę aktywności kulturalnej.

W Rosji nastąpił wprawdzie wzrost produkcji wydawniczej do ok. 102 tys. tytułów rocznie, ale w niskich nakładach. Rynek jest płytki, a oferta jakościowo marna, zgodna zresztą ze zmieniającymi się (na gorsze) gustami publiczności. Książki są tam drogie, bo wysokie są techniczne koszty produkcji. Nie rozwija się zwłaszcza segment rynku księgarskiego dla dzieci i młodzieży. Efekt? W międzynarodowym badaniu czytelniczych umiejętności 15-latków Rosjanie zajęli 33 miejsce na 40.

Zdecydowana większość rosyjskich wydawnictw mieści się w Moskwie i w Sankt Petersburgu. Dla rozpowszechniania książki to jest sytuacja niedobra – na prowincję dociera zaledwie połowa produkcji. Bo zwłaszcza mało jest księgarń: w małych miastach na ogół nie ma ich wcale, a wysokie ceny lokali (40% kosztów utrzymania) powodują likwidację księgarń dużych.

Bibliotek jest w Rosji 130 tys., ale 1/4 funkcjonuje w stanie awarii, a większość ma zasoby przestarzałe, jakkolwiek ogromne; całymi latami nie kupowano tam nic. Teraz z kolei wiele samorządów lokalnych próbuje likwidować biblioteki publiczne, a ustawa o zamówieniach publicznych stała się prawdziwą katastrofą dla zaopatrzenia bibliotek w książki.

Oczywiście, nie jest tak, żeby nie próbowano jakoś zaradzić temu (w istocie) kryzysowi – chociaż akurat Ministerstwo Kultury, które miałoby coś do zrobienia, jest całkowicie pasywne. Zeby skoordynować rynek książki, powołano różne zrzeszenia, jak: Rosyjska Izba Książki, Rosyjskie Zrzeszenie Książki oraz inne. Nawiasem mówiąc, trochę tych zrzeszeń za dużo: tak, jakby sama liczba miała być narzędziem naprawczym.

No i są rządowe programy finansowego wsparcia bibliotek i książki. „Kultura Rosji na lata 2006-2010”, „Czytelnictwo” lub „Biblioteka Puszkina”. Ale potrzeby są ogromne. Według ekspertów, na wsparcie czytelnictwa należałoby od ręki wyasygnować 30 mld rubli (ponad 300 mln zł). Takich pieniędzy najprawdopodobniej nie ma.

Autor dobrze zna się na rzeczy, wywody dokumentuje solidnie, ale są też w tekście zbędne powtórzenia i nawet drobne sprzeczności. Natomiast ze względu na sposób eksplikacji, książka jest okropnie nudna. Dałoby się to wszystko napisać ż w a w i e j.

[5] PROJEKTOWANIE BIBLIOTEK DLA DZIECI [***]

Nolan Lushington, specjalista od bibliotecznej architektury wnętrz z Uniwersytetu Harvarda, opracował bogato ilustrowany podręcznik na temat projektowania i wyposażania bibliotek dla dzieci oraz dla młodzieży (Lushington, 2008). Dodał też garść opinii na temat funkcjonowania i użytkowania tych bibliotek – miejscami w ciekawym ujęciu, a czasami: w bagatelnym.

Dawniej biblioteki dla dzieci projektowano tak, jak dla dorosłych – z ewentualnym dodaniem pokoju bajek. Dzisiaj przypominają Disneyland, bo muszą użytkowników skaptować, zaabsorbować i stworzyć im atrakcyjne warunki dla korzystania – z dostosowaniem do ruchliwości, ale i do uczenia się, a także (dla młodszych) z powierzchnią dla rodziców. Z amerykańskich badań wynika, że 78% dzieci korzysta z bibliotek (jednak) dla czytania książek, 67% – dla nauki, a 34% – dla korzystania z Internetu.

Zdaniem Lushingtona – biblioteki szkolne trzeba projektować inaczej niż publiczne, bo mają inne zadania i całkowicie odmienny charakter. Są tam potrzebne duże powierzchnie dla skupienia całych klas i miejsca do pracy w mniejszych grupach; trzeba też rozlokować dużo stanowisk elektronicznych i jest potrzebne pomieszczenie dla konsultacji z nauczycielami. Natomiast nie może być zgody na łączenie z bibliotekami publicznymi, bo to są zupełnie inne biblioteki. Dorośli nie znoszą szkolnego mętliku i nie chcą szkolnej literatury. Uczniowie zaś w bibliotece szkolnej kontynuują naukę. W bibliotece publicznej – już niekoniecznie.

W bibliotekach publicznych najlepsze jest wyodrębnienie dla tej kategorii wiekowej trzech różnych pomieszczeń (a przynajmniej osobnych przestrzeni) dla różnych grup: dla małych dzieci, dla dzieci starszych oraz dla młodzieży. Uszczegółowione funkcje biblioteczne są bowiem dla tych kategorii publiczności odmiennie, a i sami użytkownicy źle znoszą ewentualną wiekową wspólnotę. Lepiej też, jeśli budynki są jednokondygnacyjne. No i zawsze potrzebna jest aranżacyjna elastyczność, ponieważ zmiany w funkcjonowaniu są z czasem nieuchronne.

Przed przystąpieniem do projektowania tych bibliotek autor zaleca staranną analizę środowiska, obserwację sposobów użytkowania pomieszczeń dotychczasowych, stworzenie m a p y charakterystycznych zachowań oraz spisanie oczekiwań personelu. Zawsze też warto zasięgnąć konsultacji eksperckiej: w końcu mowa o przedsięwzięciu kosztownym.

Charakteryzując podział pomieszczeń na obszary funkcjonalne, Lushington sugeruje wyraźne oddzielenie przestrzeni do nauki i pracy od – koniecznej w takich bibliotekach – przestrzeni do zabawy i ruchu. Ta z kolei wymaga izolacji dźwiękoszczelnej, a więc raczej ścian, aniżeli przepierzeń. Pożądane jest też osobne pomieszczenie na imprezy.

Urządzenia elektroniczne najlepiej zblokować razem, w jednym segmencie biblioteki, zapewniając przy każdym komputerze miejsca dla czterech osób. Dzieci lubią bowiem popisywać się wzajemnie umiejętnościami w korzystaniu z Internetu. W części dla najmłodszych potrzebne są miejsca dla rodziców i opiekunów, natomiast w części młodzieżowej pożądana jest rozbudowana kolekcja muzyczna, z aparaturą do odtwarzania.

W książce znalazła się autorska lista najczęstszych mankamentów bibliotek dla dzieci – sądzę, że ciekawa. Oto one: nadmiar książek – zbyt skomplikowany podział i układ zbiorów na półkach – brudne okładki książek – brak wyciszeń – wadliwe oświetlenie – niezmienniane ekspozycje – tłumy przy monitorach – śmietnik na stanowiskach pracowniczych. Kto widział wiele bibliotek dla dzieci, ten na pewno przyzna rację.

Autor przedstawił też liczne opisy (z ilustracjami) rozwiązań w konkretnych bibliotekach dla dzieci, z charakterystyką wyposażenia oraz rejestrem norm powierzchni włącznie. Ale nie podejmę się przeliczania stóp kwadratowych na nasze mierniki.

KSIAŻKI OMÓWIONE

- [1] Pamela H. MacKellar (2008): *The accidental librarian*. Medford: Information Today Inc., 406 s., ISBN 978-1-57387-338-3 [****].
- [2] Bill Crowley (2008): *Renewing professional librarianship. A fundamental rethinking*. Westport: Libraries Unlimited, 174 s., ISBN 978-1-59158-544-1 [***].
- [3] David MacMenemy (2009): *The public library*. London: Facet Publishing, 219 s., ISBN 978-1-85604-616-9 [***].
- [4] Jurij Gorszkow (2007): *Biblioteka w strategii sowremiennogo rosta knigoizdanija*. Moskwa: Paszkow dom, 327 s., ISBN 978-5-7510-0372-2 [***].
- [5] Nolan Lushington (2008): *Libraries designed for kids*. London: Facet Publishing, 173 s., ISBN 978-1-85604-657-2 [***].

Jacek Wojciechowski
Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa
Uniwersytet Jagielloński

Tekst wpłynął do redakcji 3 marca 2009 r.